

Jedna wojna. Dwie rodziny. Morze krwi.

KATARZYNA SALACH



GDY MNIE UNIEWINNISZ

KATARZYNA SALACH

GDY MNIE UNIEWINNISZ



Black Dragon

Copyright © Stargard 2025
Katarzyna Salach
Wydawnictwo Black Dragon

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być kopiowana, reprodukowana
ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

All rights reserved

Ostrzeżenie dotyczące treści:

Niniejsza książka zawiera opisy scen brutalnych, aktów przemocy, w tym przemocy fizycznej i psychicznej, a także treści o charakterze seksualnym, które mogą być nieodpowiednie lub niekomfortowe dla niektórych czytelników. Ponadto, w fabule mogą pojawiać się zachowania kontrowersyjne, niepożądane lub niezgodne z normami społecznymi.

Lektura jest przeznaczona wyłącznie dla pełnoletnich odbiorców.

Zaleca się rozważyć przed podjęciem decyzji o czytaniu.

REDAKCJA I KOREKTA:

Daria Raczkowiak (@daria.raczkowiak.korekta)

OKŁADKA, SKŁAD I ŁAMANIE:

Szymon Bolek (Studio Grafpa, www.grafpa.pl)

grafpa

DRUK I OPRAWA:

Abedik S.A.



Black Dragon

www.wydawnictwoblackdragon.pl

@wydawnictwoblackdragon

@k.salach_autorka

ISBN 978-83-974894-3-1

*Dla wszystkich, których serca płoną nienawiścią –
pamiętajcie, że to miecz obosieczny.
Nie pozwólcie, aby pragnienie zemsty Was zniewoliło
i przesłoniło to, co naprawdę istotne.*

PROLOG



Max

10 lat wcześniej...

Olbrzymi huk wypełnił moje uszy, wyrrywając mnie tym samym ze snu.

Otworzyłem oczy, jednak przez szare smugi gęstego dymu niewiele byłem w stanie zobaczyć. Co jest, kurwa? – pomyślałem, zanim nagły zastrzyk adrenaliny nie zmusił zamroczonego snem umysłu do działania.

Oblał mnie zimny pot, a drapanie w gardle wywołało atak kaszlu. Odrzuciłem koldrę, po czym zsunąłem się na podłogę. Kryjąc usta i nos w zgięciu łokcia, ruszyłem w stronę drzwi. Powoli, rytmicznie, zachowując spokój. Metr po metrze, aż wreszcie dotarłem na korytarz. Dymu było tu znacznie więcej, więc opadłem jeszcze niżej.

– Max! – Usłyszałem rozpaczliwy krzyk.

Moje serce zaczęło boleśnie obijać się o żebra, gdy spojrzałem w stronę młodszego brata. Stał w otwartych drzwiach sypialni. Jego twarz była przerażona i różowa od płaczu. Miał na sobie piżamę w czerwone cięgarówki, a w dłoni trzymał ulubionego pluszaka.

– Na podłogę, Simon! Już – nakazałem szorstko.

Zbyt szorstko. Bynajmniej nie celowo. Odkaszniałem, biorąc płytki wdech. Brat przetarł podrażnione oczy, a następnie niechętnie położył się na brzuchu.

– Właśnie tak – pochwaliłem go, ignorując narastający w gardle dyskomfort. – A teraz posłuchaj uważnie. – Z całych sił starałem się utrzymać nerwy na wodzy.

Simon był tylko dzieckiem. Miał prawo się bać, a moim obowiązkiem było go chronić.

– Wracaj do siebie. Schowaj się pod łóżko. Tak, jak ostatnio, gdy bawiliśmy się w chowanego, pamiętasz? – spytałem stanowczym głosem.

– Co się stało? – zawołał, szlochając.

– Nie wiem – przyznałem.

– Chcę do mamy!

Zacisnąłem zęby.

– Wiem, Simon – odparłem, siląc się na łagodny ton. – Pójdę po nią, dobrze? Zaraz do ciebie przyjdziemy, obiecuję. Pamiętasz, co powtarza zawsze tata?

– Że muszę być dzielny – odrzekł sepleniąc, a potem po raz kolejny przetarł twarz.

– Dokładnie. – Przytaknąłem. – Zrób tak, jak powiedziałem i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam, rozumiesz?

Skinął głową w odpowiedzi, po czym wciąż pochlipując, zaczął cofać się w głąb swojej sypialni. Gdy zniknął pod niewielkim,

jednoosobowym łóżkiem, ruszyłem dalej. Musiałem sprawdzić, co z ojcem i jego żoną. Od ich pokoju dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. Już prawie do niego dotarłem, gdy nagły wybuch wyważył drzwi z zawiasów. Prostokątny, gruby na kilka centymetrów kawał drewna uderzył z impetem w przeciwną ścianę.

Nie...

Nie, nie, nie.

Przyspieszyłem. Czarne myśli rozlały się po mojej głowie, niczym atrament z nieumiejętnie używanego pióra. Chciałem wejść do środka, ale całe wnętrze płonęło. Pomarańcz, czerń i kłęby gęstego, szarego dymu – nic więcej nie byłem w stanie zobaczyć. Poczulem na skórze gorące powietrze, bijące od szalejących płomieni.

Kurwa.

Wyteńczyłem słuch, ale do moich uszu nie dotarły żadne jęki, krzyki czy nawoływania. Nic. Tylko cisza, zagłuszana jedynie trzaskającym drewnem.

Wtedy miał miejsce trzeci wybuch. Jego siła była dostatecznie duża, aby rzucić mnie na plecy. Uderzyłem tyłem głowy o podłogę. Moja szczeka zacisnęła się w odpowiedzi na rozchodzący się po czaszce ból. Pociemniało mi przed oczami. Odpłynąłem, ale nie na długo. Musiało to być zaledwie kilka sekund, bo gdy uniosłem głowę, zorientowałem się, że ogień nie zdążył się jeszcze rozprzestrzenić.

Nagle zdałem sobie sprawę, że do wybuchu doszło w sypialni Simona. Zerwałem się na równe nogi. Biegiem ruszyłem w stronę pokoju brata, bagatelizując problemy z utrzymaniem równowagi.

– Simon! – Wtargnąłem do środka.

Ilość ładunku musiała być mniejsza niż w sypialni ojca, bo płomienie nie objęły całego pomieszczenia. Największe szkody widniały w okolicy łóżka.

Tam, gdzie kazałem mu się schować.

Moje ramiona opadły, gdy odnalazłem wzrokiem małe, dziecięce ciało. Leżało pod ścianą, wygięte pod nienaturalnym kątem. Przypominało szmacianą lalkę, którą znudzony właściciel odrzucił niedbale w kąt. Było pokaleczone, zwęglone, zakrwawione. Nie miało w sobie życia.

Już nie.

Podszedłem bliżej. Widok twarzy brata powalił mnie na kolana. Miałem go przecież pilnować... Czuwać nad nim. Dbać. Chronić. Dlaczego go zostawiłem? Dlaczego nie zabrałem go ze sobą?

Wsparłem drżącą dłoń na zwęglonym dywanie, tuż obok wątlęgo ramienia.

– Simon... – wyszeptałem, jakbym łudził się, że wciąż żyje i jedynie stracił przytomność.

Ująłem drobną, jeszcze do niedawna nieskażoną okrucieństwem twarz w dłoń. Była zniekształcona i poraniona przez liczne odłamki. Małe palce wciąż zaciskały się na poczerniałej zabawce. Zielony dinozaur. Dostał go ode mnie w prezencie na szóste urodziny, które odbyły się zaledwie kilka dni temu.

Podniosłem go, ostrożnie obejmując plecy przedramieniem.

– Simon... – wychrypiałem ponownie.

Odgarnąłem z czoła jasnobrązowe, nieco przydługie włosy. Moje opuszki oblepiła krew. Wciąż była ciepła.

ROZDZIAŁ 1



Carmen

Siedziałam na taborecie. Niskim, o niewielkich rozmiarach, ale bynajmniej nieskromnym. Każda z jego czterech nóg była ręcznie rzeźbiona i pokryta grubą warstwą złota. Górną, miękką część obito jasnym kaszmiem. Z założenia taboret miał być wygodny, ale ja czułam, jakby mnie parzył. Przeniosłam wzrok na fortepian. Ogromny, biały, lśniący. Prezentował się zjawiskowo. Dumnie i elegancko. Uniosłam dłonie i musnęłam opuszkami białe-czarne klawisze.

W sali, którą mój ojciec wynajął, aby wyprawić imprezę z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin, panowała głęboka, przepelniona ekscytacją cisza. Na mój ruch oczekiwało blisko sto osób. Sto wpływowych, niebezpiecznych, obrzydliwie

bogatych osobistości – znajomych ojca. Byli poza zasięgiem mojego wzroku, ale wyraźnie czułam ich obecność. Tkwiłam na środku dobrze oświetlonej sceny, niczym cenny obraz na ścianie w muzeum, podczas gdy reszta sali pogrążona była w intymnym mroku.

Nie mogłam dłużej zwlekać.

Moje palce poruszyły się nerwowo, po czym rozpoczęły wędrówkę po klawiszach. Z instrumentu wydobyła się melodia, która poszybowała wysoko w górę, a następnie spłynęła na widownię, otulając ją niczym gęsta mgła. Zamknęłam oczy, pozwalając, aby mnie wyłączyła. Odcięła. W mojej głowie pojawiła się dobrze mi znana czerń. Nieprzenikniona, przerażająca, pusta. Otoczyła mnie, chroniąc przed tym, co przywoływało bolesne wspomnienia. Sparaliżowała wszystkie zmysły. Nic nie słyszałam, nie widziałam, nie czułam. Moje dłonie wciąż tańczyły i choć wiedziałam dokładnie, jakie dźwięki wydobywają z instrumentu, to dzieliła mnie od nich gruba, dźwiękoszczelna ściana, która zniknęła dopiero, gdy skończyłam grać.

Serdeczny palec spoczął na ostatnim klawiszu i zapadła cisza. Trwała kilka długich sekund, a potem zgromadzeni – podobnie jak ja, ale z zupełnie innego powodu – zaczęli wracać do rzeczywistości. Czerń, która spowiła mój umysł, przerzedziła się, a zmysły zaczęły budzić do życia. Rozbłysły światła, a do moich uszu dotarły brawa. Na początku były stonowane, nieśmiałe, ale bardzo szybko przybrały na sile. Krzesła zaszurały, gdy goście zaczęli podnosić się z miejsc.

Również wstałam. Szeroki uśmiech przyozdobił moją pokrytą perfekcyjnym makijażem twarz. Splotłam ze sobą dłonie, po czym pokornie się skłoniłam. Odczekałam chwilę,

a gdy brawa zaczęły cichnąć, ruszyłam w stronę bocznych schodów, aby zejść ze sceny. Na dole czekał na mnie ojciec. Rozpromieniony, dumny, z rękoma wyciągniętymi w moją stronę. Ujął pewnie moje dłonie, gdy tylko pojawiły się w jego zasięgu. Czule ucałował oba moje policzki, a następnie zwrócił się w kierunku gości.

– Przyjaciele! – zaczął donośnym głosem, przesuwając spojrzeniem po sali. – Jestem wam ogromnie wdzięczny, że zaszczyciliście mnie dziś swoją obecnością. Świątowanie urodzin w tak doborowym towarzystwie, to uczucie nie do opisanie. – Posłał towarzystwu elegancki uśmiech, a wśród tłumu nie było osoby, która by go nie odwzajemniła. – Chciałbym również podziękować mojej córce, Carmen, za wspaniały występ. Nie mógłbym sobie wymarzyć piękniejszego otwarcia wieczoru. – Uniósł moją dłoń i złożył pocałunek na jej grzbiecie.

Wygięłam wargi w uśmiechu, mając nadzieję, że nie dostrzeże, ile wysiłku mnie kosztował. Poczułam ulgę, gdy odwrócił wzrok i znów skupił uwagę na gościach.

– Proszę, zajmijcie miejsca i napełnijcie porządnie żołądki. Czeka nas długa noc! – Błysnął zębami. – Jeszcze raz dziękuję – rzekł, a potem lekko się skłonił.

Gdy elegancko ubrani kelnerzy zaczęli gęsiego opuszczać kuchnię i roznosić dania, ojciec ścisnął moje palce. Ruszył w stronę stolika znajdującego się w samym centrum sali. Stało przy nim dziesięć krzeseł. Osiem z nich było zajętych.

Pierwszy z miejsca podniósł się Tanner Zahn, a zaraz po nim jego żona, Cindy. Często bywali w naszym domu, więc znałam ich twarze dość dobrze, choć nigdy nie rozmawiałam z nimi dłużej niż wymagała tego sytuacja.

– To... – zaczęła Cindy, wskazując scenę, na której grałam kilka minut temu – było niesamowite. Nigdy nie słyszałam czegoś takiego – oznajmiła, nie kryjąc zachwytu.

– Zgadzam się z żoną, a nie jest żadną tajemnicą, że nie zdarza się to często – zażartował Tanner, otaczając moją dłoń swoimi dwiema i delikatnie nią potrząsając. – Masz prawdziwy talent.

– Dziękuję.

– To jeszcze nic – wtrącił się ojciec. – Wprawdzie ulubieńcem Carmen jest fortepian, ale potrafi też grać na skrzypcach i harfie. Ponadto ma anielski głos i równie zjawiskowo się porusza. – W jego oczach zapłonął ogień. – Zupełnie jak jej matka – dodał znacznie ciszej.

Zeszytywniałam. Ojciec musiał to zauważyć, ale postanowił zignorować.

– Mam ogromną nadzieję, że jeszcze kiedyś będę mogła usłyszeć, jak grasz – rzekła lekkim głosem Judith Goldstein.

Jej mąż, Elbert, mruknął coś pod nosem, a gdy się odsunęła, położył ręce na moich ramionach.

– Gratulacje – rzekł. – Jestem pod wrażeniem. – Uśmiechnął się, pochylając nieco głowę. – Tak sobie pomyślałem... – wyszeptał. – Może udzieliłabyś kilku lekcji naszej córce?

Wymuszony uśmiech zastygł na moich ustach. Przeniosłam oczy na zawstydzoną nastolatkę. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, natychmiast spuściła wzrok.

– Oczywiście.

Elbert przytaknął, po czym wrócił na miejsce. Mój wzrok padł na trzy twarze, których mimo usilnych starań, nie potrafiłam dopasować do żadnej znajomej.

– Carmen – odezwał się ojciec. – Chciałbym ci przedstawić kogoś, kogo już znasz, ale z pewnością nie pamiętasz.

Mężczyzna w wieku zbliżonym do mojego ojca, posłał mi nikły uśmiech.

– To jest Connor Lester. Mój przyjaciel z lat dziecięcych, nastoletnich i tych trochę późniejszych. Opiekował się tobą nie raz, zaledwie kilka miesięcy po twoich narodzinach.

– Pamiętam każdą pieluchę. – Zaśmiał się Connor, podnosząc z miejsca i ruszając w moją stronę. – Równie wyraźnie, jak moich własnych dzieci. – Wskazał na dwójkę, która stanęła za jego plecami.

Usunął się na bok, a potem skinął na chłopaka.

– To mój syn, Drew. Przyszedł na świat trochę szybciej niż ty, więc miałem już wprawę w przewijaniu.

Drew przewrócił oczami, po czym jego wargi rozciągnęły się w promiennym uśmiechu. Był jak młodsza kopia swojego ojca. Oboje mieli jasnobrązowe włosy, gęsty zarost i piwne oczy. Gdy uścisnęłam jego dłoń, pochylił nieznacznie głowę.

– A to moja córka, Zoe, która jest od ciebie młodsza o rok – oznajmił Connor. – Żałuję, że żadna z was nie pamięta wspólnej zabawy. Byłyście przekomiczne.

Zoe zachichotała.

– Ojciec zadręczał mnie i Drew tymi historiami przez całą drogę – wyznała.

Uśmiechnęłam się do niej, kątem oka zerkając na ojca. Z jego ust ani razu nie padło imię Connora, ani jego dzieci. Nigdy o nich nie wspomniał. Dlaczego?

Najwidoczniej dostrzegł pytanie malujące się w moich oczach, bo natychmiast się odezwał.

– Connor opuścił Anglię dzień po twoich czwartych urodzinach. Nasze drogi rozeszły się na kilkanaście długich lat – rzekł, a uśmiech na jego twarzy ledwie zauważalnie się zmienił.

Ciekawe.

– Zostawmy jednak przeszłość tam, gdzie jej miejsce. – Machnął lekceważąco ręką. – Najważniejsze, że w końcu wrócił i być może zostanie na dłużej. Na pewno nadarzy się jeszcze niejedna okazja, aby powspominać stare, dobre czasy. – Klepnął Connora w ramię. – A tymczasem zapraszam do stołu – rzekł, odsuwając dla mnie krzesło.

Usiadłam. Kolacja była wystawna, starannie przygotowana przez najlepszych londyńskich kucharzy. Na stole pojawiły się najdroższe produkty świata. Od wołowiny Kobe, przez ziemniaki La Bonnotte, kawior i białe trufle, po melony Yubari. Po minach otaczających nas gości mogłam śmiało stwierdzić, iż byli zachwyceni. Pomiędzy kęsami rzucali niewybrednymi żartami, a głośne śmiechy niesły się echem po sali. Ich policzki stały się rumiane od alkoholu z najwyższej półki, a języki zupełnie się rozplątały.

Gdy kolacja dobiegła końca, rozmowa przy stole zeszła na interesy. Z zaskoczeniem zauważyłam, że Zoe brała aktywny udział w dyskusji. Mnie ojciec zawsze trzymał jak najdalej od... wszystkiego.

Sięgnęłam po kieliszek napełniony szampanem i upiłam długi łyk. Przeniosłam uwagę na mężczyznę, który zajął miejsce za fortepianem. Melodia, którą grał, znacznie różniła się od mojej. Była lekka, łatwa w odbiorze i na swój sposób przyjemna, ale... No właśnie.

Z trudem powstrzymałam westchnienie.

– Przepraszam na moment – powiedziałam cicho, po czym wstałam.

Wolnym krokiem ruszyłam w stronę stołu z przekąskami. Wsunęłam do ust soczystą czereśnię, a potem wzięłam nową

lampkę szampana, ponieważ moja została przy stole. Rozejrzałam się dyskretnie po sali. Zewsząd otaczały mnie elegancie garnitury i wieczorowe suknie. Goście uśmiechali się do mnie i kiwali głowami, a ja czułam się zobowiązana do odwzajemniania ich życzliwych gestów. Byłam jak lustro. Gdy ktoś do mnie machał, odmachiwałam. Gdy wyciągał rękę, ujmowałam ją. Gdy komplementował, nie pozostawałam dłużna, choć tak naprawdę wszyscy tu obecni stanowili dla mnie jednolitą masę. Po piętnastu minutach zupełnie przestałam rozróżniać twarze. Mój ojciec otaczał się wieloma ludźmi. Ciężko było za nim nadążyć.

I ta muzyka... Nie mogłam się skupić. Podeszłam pod scenę i obserwowałam, jak oświetlone żółtym światłem ciało mężczyzny, porusza się rytmiczne to w przód, to w tył. Natychmiast wyczułam moją obecność. Nie przerywając gry, skierował na mnie oczy. Jego usta, skryte pod bujnym, skrzętnie podkreślonym wąsem, rozciągnęły się w ciepłym, pełnym podziwu uśmiechu, a głowa skłoniła się w moją stronę w wyrazie szacunku. Odwzajemniłam jego gest.

Wyglądało na to, że gra naprawdę sprawiała mi przyjemność. Jeszcze pamiętałam, jak to jest, choć było to bardzo dawno temu. Jako dziecko kochałam każdy rodzaj sztuki. Do siódmego roku życia ubóstwiałam śpiewać, tańczyć i grać. Potem w wypadku samochodowym straciłam matkę – moją bratnią duszę, która zaszczerpiła we mnie tę miłość. Wszystko robiłyśmy razem. Uczyla mnie baletu, udzielała lekcji śpiewu i gry na różnych instrumentach – nie tylko na fortepianie, skrzypcach i harfie. Po jej śmierci... tak mocno jak kochałam, znienawidziłam. Każdy dźwięk i taneczny krok budziły rozdzierającą serce tęsknotę. Przypominały melodyjny głos

i ciepłe, matczyne ciało, do którego przytulałam się podczas zasypiania. Ojciec zawsze udawał, że nie dostrzega mojego bólu. Nawet gdy po odejściu mamy szlochałam, że nie chcę już grać, on opłacał kolejne lekcje. To była jego terapia. Sposób, w jaki radził sobie ze śmiercią żony.

– Grosik za twoje myśli – odezwała się babcia, stając u mego boku.

Zerknęłam z ukosa na jej twarz pokrytą zmarszczkami.

– Nie są tyle warte. Nie myślę o niczym konkretnym – skłamałam.

Babcia знаła mnie zbyt dobrze, aby uwierzyć, ale nie dopytywała, więc musiała się domyślić, że właśnie wspominałam mamę.

Charlotte Cole mimo sędziwego wieku była elegancką, zadbaną kobietą. Uwielbiała korale, kapelusze i czerwoną szminkę, którą codziennie sumiennie nakładała na wąskie usta. Kochałam ją całym sercem i wiedziałam, że uczucie to jest odwzajemnione.

– Nie podoba ci się muzyka – stwierdziła, zawieszając wzrok na grającym mężczyźnie.

Moje brwi powędrowały ku górze.

– Och, czyżby?

– Oczywiście, znam cię. – Przeniosła na mnie swoje mądre, szare oczy.

Zamyśliłam się.

– Kiedy powiesz mi wreszcie prawdę? – spytałam, zbijając ją z tropu.

– Prawdę? – W jej spojrzeniu pojawiła się iskra.

Zmrużyłam oczy.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Kiedy się przyznasz, że potrafisz czytać w myślach?

Napięcie, którego wcześniej nie dostrzegłam, opuściło ramiona babci, gdy wybuchła gromkim śmiechem.

– I dlaczego nie przekazałaś mi tego daru w genach? – dodałam, próbując zachować powagę.

– Moja droga, gwarantuję ci, że gdy będziesz w moim wieku, nabędziesz tę umiejętność – odparła, dobroduszenie się uśmiechając.

– Tyle mam czekać? – droczyłam się.

Babcia położyła dłoń na moich plecach.

– Życie szybko mija. Jeszcze się o tym przekonasz.

Pokręciłam głową, jednocześnie zwilżając usta szampanem.

– Będę się już zbierać – poinformowała.

– Dobrze. Ja jeszcze zostanę – oznajmiłam, zerkając w stronę stołu, przy którym siedział ojciec. Nie byłby zadowolony, gdybym teraz wyszła.

Babcia przytaknęła.

– Do zobaczenia na śniadaniu – rzuciła, obracając się na pięcie.

Ruszyła w kierunku wyjścia, ale ją zatrzymałam.

– Wiesz może... Kim jest Connor Lester? – spytałam, lustrując wzrokiem jego majaczącą w oddali twarz.

Spojrzenie babci również powędrowało w tamtą stronę.

– Był przyjacielem twojego ojca – powiedziała coś, co już wiedziałam.

Postanowiłam zadać bardziej konkretne pytanie.

– Dlaczego wyjechał z Anglii?

W jej oczach zamigotało zdenerwowanie.

– To długa i nudna historia – westchnęła.

Uniosłam brwi.

– Opowiem ci ją innym razem, dobrze?

– Koniecznie – odparłam, przyszpilając babcię spojrzeniem. Zaśmiała się, ale nie był to ten sam dźwięk, który znałam.
– Jestem strasznie zmęczona – oznajmiła, czym wzbudziła moją czujność.

Charlotte Cole była okazem zdrowia, ale nie omieszkła wykorzystywać swojego wieku i związanych z nim dolegliwości jako wymówki, gdy nie chciała czegoś robić albo o czymś rozmawiać.

– Babciu... – zaczęłam, ale mi przerwała.
– Zobaczmy się jutro. – Ucałowała czule mój policzek, a potem pospiesznie się oddaliła.

Opróżniłam lampkę i odłożyłam ją na pustą tacę, którą trzymał kręcący się nieopodal kelner.

– Jeszcze jeden kieliszek szampana, panno Cole? – zaproponował.

– Nie, dziękuję – odparłam, posyłając mu stonowany uśmiech, po czym nieco opieszale wróciłam do stołu.

– W każdym razie – odezwał się Tanner Zahn – słyszeliście najnowsze wieści? – Włożył do ust krewetkę. – Syn Ryana McCallistera za kilka dni stanie się wolnym człowiekiem – oznajmił, przeżuując.

Uśmiech na twarzy mojego ojca stężał.

– Nieprawdopodobne – warknął. – Jestem pełen podziwu, że wciąż żyje.

– Żyje. – Tanner pokiwał głową. – I z tego co słyszałem, ma się całkiem dobrze.

Ojciec zgniótł zużyta serwetkę i rzucił ją na pusty talerz.

– Po spędzeniu dziesięciu lat w zamknięciu, jakoś ciężko mi w to uwierzyć – parsknął.

Spojrzenie pana Zahna stwardniało.

– Cóż... Myślę, że nie tobie jednemu. Większość zapewne myślała, że ród McCallisterów przestał istnieć w chwili, w której zginął Ryan, a tu proszę. Niespodzianka – rzekł, sięgając po kolejną krewetkę.

Oczy ojca i Elberta Goldsteina spotkały się nad tańczącym płomieniem świecy.

– To tylko dzieciak – mruknął Elbert.

– Kto? Max McCallister? – Tanner zaśmiał się, kręcąc głową. Pan Goldstein posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

– Powiedziałem coś zabawnego?

Tanner rozłożył serwetkę.

– Dziesięć lat to szmat czasu. – Wytarł palec wskazujący. – Wiele może się zmienić. – Oczyszczył środkowy. – Szczególnie, gdy przebywasz w takim miejscu jak Koma, gdzie każdy dzień zmienia się w walkę o przetrwanie.

Ojciec wsparł łokcie na stole, a następnie przysunął złączone dłonie do twarzy.

– Skąd to wszystko wiesz? – zwrócił się do Tannera, a ten w odpowiedzi błysnął zębami.

– Wspólnik mojego przyjaciela wpadł. Musiał wydać jednego ze swoich ludzi. Osadzili go w Komie – wyjaśnił.

– Masz jeszcze jakieś... informacje? – odezwał się Elbert.

Tanner wypuścił powietrze nosem, unosząc ramiona.

– W ciągu tych dziesięciu lat młody McCallister nawiązał współpracę z kilkoma osobami. Wszystkie okazały się bardzo intratne, ale nie znam szczegółów. Podobno ostrożnie dobiera współpracowników. Gdy tamten człowiek, ten od mojego przyjaciela, próbował się do niego zbliżyć, o mały włos nie doszło do tragedii. – W momencie, w którym skończył mówić, jego ramiona z powrotem opadły. – Podobno planuje wrócić na

wyspę. Do rodzinnego domu – dodał, odchylając się na oparcie krzesła. – A raczej tego, co z niego zostało.

– Ryan McCallister miał siostrę, zgadza się? – spytał pan Goldstein.

Tanner przytaknął. Jego ciemne, zaczesane do tyłu włosy, nie drgnęły nawet o milimetr. Ojciec odjął dłonie od twarzy i sięgnął do wewnętrznej kłapy marynarki. Wyciągnął z niej humidor.

– Nabrałem ochoty na cygaro – oznajmił, siląc się na uśmiech, a potem zwrócił do jednego ze swoich towarzyszy. – Elbercie, dotrzymasz mi towarzystwa?

Pan Goldstein natychmiast się podniósł.

– Oczywiście.

Ruszyli w stronę wyjścia z sali balowej. Odprowadziłam ich wzrokiem, a gdy zniknęli za rogiem, wstałam. Uśmiechnęłam się do obserwującego mnie Tannera, a następnie podążyłam śladem ojca. Po drodze jeden z gości zaprosił mnie do tańca, ale odmówiłam. Wyszłam na korytarz, na którym znajdowały się toalety i dyskretnie się rozejrzałam. Dostrzegłam, że drzwi od jednego z mniejszych pomieszczeń były uchylone. Podeszłam bliżej. *Bingo* – pomyślałam, gdy do moich uszu dotarł przytłumiony głos ojca.

– Jak do tego doszło? – spytał tonem żądającym wyjaśnień. Odpowiedziało mu pełne irytacji westchnienie.

– Wiem, że się tego nie spodziewałeś, Ianie. Ja również. Jestem tak samo zaskoczony, jak ty – zapewnił Elbert Goldstein.

– Miał zginać. Szybko. Dawaleś mu góra dwa miesiące – rzucił ojciec oskarżycielskim tonem.

– To prawda. Doskonale pamiętam swoje słowa, mimo iż minęło długie dziesięć lat. Byłem pewny, że tak właśnie się stanie. Prawie poręczyłem za to głową...

– W takim razie dobrze, że tego nie zrobiłeś, bo nie miałbyś dziś głowy – warknął rozdrażniony.

– Rozumiem twoją złość. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Pomyliłem się. Nie doceniłem go. Zbyt pochopnie postawiłem na nim krzyżyk. Musisz mi jednak uwierzyć, że Koma to naprawdę paskudne miejsce. Wielu ludzi, których znałem i w których nie dostrzegałem krzty słabości, wychodziło z niej z ogromnym uszczerbkiem na zdrowiu nie tylko fizycznym, ale też psychicznym albo nie wychodziło w ogóle. Nigdy bym się nie spodziewał, że Max McCallister przetrwa.

Nie miałam pojęcia, kim był człowiek, o którym rozmawiali, ale reakcja ojca kazała mi przypuszczać, iż stanowił poważne zagrożenie. Poczułam skurcz w żołądku, wywołany narastającym niepokojem. Już dawno nie słyszałam tak wielkiej irytacji w jego głosie, a doskonale wiedziałam, że pojawiała się zazwyczaj w wyniku... strachu. Słowa, które padły jako następne, jedynie utwierdziły mnie w moich domysłach.

– Mogę ci pomóc...

Ojciec zaśmiał się.

– Nie ma takiej potrzeby. Być może McCallister nie jest już dzieckiem, ale męźniał w miejscu odciętym od świata. Z czymkolwiek musiał się mierzyć przez te lata, nie sądzę, aby starczyło mu odwagi, żeby stanąć u progu moich drzwi. – Nonszalancja w jego głosie nawet mnie wydała się sztuczna. – Zakładając, że w ogóle pozostał przy zdrowych zmysłach – burknął już znacznie ciszej.

Rozległo się niegłośne, rytmiczne stukanie, które po chwili ucichło.

– Nie lekceważ go, Ianie. Nie popełniaj tego samego błędu, co ja. Musisz zachować czujność – zasugerował pan Goldstein. Hardy głos niespodziewanie złagodniał. – Dobrze ci radzę. Jak przyjaciel przyjacielowi.

Spięłam się. Ta rozmowa podobała mi się coraz mniej.

– Doceniam twoją troskę, Elbercie, ale jest ona zbyt duża. Jeśli McCallister mimo wszystko zdecyduje się do mnie przyjść, będę na niego czekał. Zwarty i gotowy – odparł ojciec, siląc się na bez troskę.

Zapadła cisza. Przerwały ją niespieszne kroki. Przyłgnęłam ciałniej do ściany.

– Myślę, że powinienes wyjechać. Przynajmniej na jakiś czas. Kroki ustały.

– Dopóki nie zorientujemy się, z czym przyjdzie ci się zmierzyć.

– Nie będę przed nim uciekał. – Głos ojca się wystrzył.

Pan Goldstein burknął coś pod nosem.

– Nie traktuj tego w ten sposób. Dzięki wyjazdowi zyskasz kilka cennych dni, które mógłbyś poświęcić na przygotowania. Poza tym... pomyśl o Carmen. Chyba nie chcesz tak ryzykować?

Poczułam, jak każdy, nawet najmniejszy mięsień w moim ciele się napiął.

– Max McCallister może być zdolny do wszystkiego. Nie ma już zbyt wiele do stracenia. Należy wziąć pod uwagę każdą ewentualność.

Odpowiedź ojca nadeszła dopiero po długich kilkunastu sekundach.

– Masz rację. – Wypuścił nagromadzone w płucach powietrze. – Wracajmy do stołu. Znajdę Carmen i poinformuję ją o wyjeździe.

Na dźwięk tych słów przemknęłam do damskiej toalety. Zamknęłam się w jednej z kabin i odczekałam chwilę, próbując poukładać w głowie to, czego się dowiedziałam. Po kilku minutach wyszłam, umyłam ręce i wróciłam na salę. Ojciec wraz ze swoim towarzyszem właśnie dotarli do stołu. Wymienił kilka zdań z Tannerem, a gdy ten zerknął w moją stronę, ojciec odwrócił się i z uśmiechem na ustach skierował ku mnie.

– Chciałabym już wrócić do domu – oznajmiłam, gdy znalazł się u mego boku.

– Dobrze. – Przytaknął. – Zatańczymy, a potem Finn cię odwiezie.

Gdy podał mi dłoń, ujęłam ją. Poprowadził mnie na środek parkietu, na którym tańczyło już kilka par i zaczął się kołysać.

– Chciałbym, żebyś jutro z samego rana spakowała kilka najpotrzebniejszych rzeczy – rzekł. – Wyjedziemy na kilka dni.

– Coś się stało? – spytałam, łudząc się, że chociaż ten jeden raz powie prawdę.

– Nic takiego, kochanie. Nie martw się.

Z trudem powstrzymałam grymas.

– Chodzi o tego mężczyznę? – Zaryzykowałam.

Ojciec obrócił mnie w tańcu.

– Kim jest Max McCallister?

Ścisnął moją dłoń. Skrzywiłam się, gdy ból z palców zaczął promieniować na przedramię.

– Nie wymawiaj tego nazwiska! – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Spojrzałam w jego przepelnione złością oczy. Ojciec bywał impulsywny, ale nigdy nie podnosił na mnie głosu.

– Nie powinnaś była słyszeć tamtej rozmowy – oznajmił, mając na myśli wymianę zdań, do której doszło przy stole. – Udajmy, że tak właśnie było. A jeśli ktokolwiek zapyta... nigdy nie słyszałaś o tym człowieku. Rozumiesz?

ROZDZIAŁ 2



Max

Noc zbliżała się wielkimi krokami. Podniosłem się z twardej, zakurzonej pryczy i zbliżyłem do prowizorycznego zlewu. Wsparłem pokryte bliznami dłonie o zimny kamień i spojrzałem na swoją twarz w pękniętym na pół, matowym lustrze. Przejechałem dłońią po krótkich włosach, a potem odkręciłem wodę. Minęło kilka sekund, zanim słaby strumień wydobył się z gumowej rury. Nabrałem śmierdzącej cieczy w szorstkie dłonie i przemyłem twarz. Pod palcami wyczułem poszarpane krawędzie grubej blizny w kształcie litery „Y”. Wytarłem skórę poszarzałąm ze starości ręcznikiem, po czym przerzuciłem go przez ramię i stanąłem przy drzwiach. Były masywne, wykonane z dwóch arkuszy blachy stalowej. Przestrzeń między

profilami wypełniono wełną mineralną, a stronę zawiasową zabezpieczono trzema blokadami przeciwwyważeniowymi.

Na wszelki wypadek.

Kilkukrotnie obróciłem w palcach złożony nóż myśliwski, a następnie wyrzuciłem przez prostokątny kawałek hartowanego szkła na ciemny korytarz. Na razie był pusty i cichy, ale z pewnością już za chwilę wypełnią go krzyki.

To miejsce rządziło się swoimi prawami. Znajdowało się w głębi lasu – w miejscu oddalonym od jakiejkolwiek cywilizacji o dziesiątki kilometrów. Zostało skrzętnie ukryte przed uważnymi spojrzeniami wzorowych obywateli. Nie było niczym więcej niż kilkoma surowymi ścianami, w których zamknięto najgorszych skurwieli, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi. Bestii, które były niereformowalne i zbyt niebezpieczne, aby trzymać je w klatkach z innymi zwierzętami.

Budynek spał w dzień i budził się w nocy, gdy stacjonujący tu strażnicy – często równie sadystyczni jak więźniowie – wracali do swoich zastraszonych żon i zimnych, przepełnionych przemocą domów. Podczas, gdy wykręcali swoim kobietom ręce, aby wziąć je siłą, tutaj otwierały się drzwi. Osadzeni opuszczali wtedy cele, niczym wybiegające na arenę rozwścieczone tygrysy tylko po to, aby skoczyć sobie do gardeł, a co sobotę dodatkowo zaspokoić swoje żądze na dostarczanych tu kobietach. Oczywiście, przychodziły dobrowolnie, zachęcane kilkoma banknotami, ale rzadko kiedy wychodziły o własnych siłach i zazwyczaj nie pojawiały się po raz drugi.

W pewnym momencie rozległo się głośne buczenie i okryła lampka widniejąca nad głównym wejściem rozbrzysła na czerwono. Brama zaczęła się otwierać, wydając przy tym nieprzyjemny pisk. Chwilę później na korytarzu rozbrzmiały kroki.

Kilkunastu strażników ruszyło tymi samymi ścieżkami, które pokonywali co wieczór, odblokowując po drodze wszystkie mijane drzwi. Jeszcze panował spokój. Ciszę zagłuszał jedynie zgrzyt metalu i cykliczne pikanie oznajmujące, że kolejne drzwi zostały odbezpieczone. Aby teraz wydostać się z celi, wystarczyło je pchnąć, ale nikt tego nie zrobił.

Za szkłem mignął czarny kask. Minęło kilka sekund, po czym rozbrzmiało pojedyncze kliknięcie. Ciężkie drzwi uchyliły się i do środka wszedł Ronan, jeden ze strażników. Uniósł szybkę, która chroniła jego oczy, aby mnie lepiej widzieć. Położył dłoń na tonfie, która wisiała przy jego biodrze. Krzaczaśte brwi powędrowały ku górze. Milczeliśmy przez chwilę, aż w końcu Ronan pokręcił głową, nieznacznie ją spuszczać.

– Kurwa, jeszcze tylko parę dni – sapnął. – I opuścisz to miejsce na własnych nogach.

– Wiesz, że nie przepadam za czarnymi workami – odparłem chrapliwie.

Surowa mina zniknęła z poprzecinanej bruzdami twarzy.

– Tak. Wiem. Uważaj na siebie, Max. Szczególnie przez kilka najbliższych nocy.

Ronan obserwował mnie od dnia, w którym tu trafiłem. Uważnie śledził każdy mój krok. Nie byłem pewny, po jakim dokładnie czasie zaczął podrzucać mi jedzenie, a w nim przedmioty, które można było wykorzystać jako broń. Gdy dostarczył mi telefon, po raz pierwszy i ostatni zapytałem, dlaczego mi pomaga. *Nie powinno cię tu być* – odparł. Nigdy więcej nie poruszaliśmy tego tematu.

– Spokojnie, nic mi nie będzie – zapewniłem.

– Po prostu uważaj – powtórzył, posyłając mi ostatnie spojrzenie, a następnie opuścił szybkę i wyszedł z celi.

W miejscu tak zepsutym, jak Koma, śmierć była codziennością i czaiła się za każdym rogiem. Brak podstawowej opieki medycznej, choroby psychiczne i agresja, która musiała znaleźć ujście, ścierały się ze sobą co noc. Wystarczyła sekunda. Chwila nieuwagi. Jedno nieprzemyślane słowo, rzucone w nieodpowiednim momencie spojrzenie. A czasem nic. Za „nic” można tu było stracić życie. O martwych szybko zapominano. Wynoszono ich nad ranem i nikogo nie interesowało, co stanie się z ciałem. Jedyne, co się liczyło to liczba więźniów, która się zmniejszała, a im mniejsza była, tym lepiej.

Kwadrans później, gdy z bloku zniknął ostatni strażnik, usłyszałem dźwięk zamykającej się bramy, a lampka świecąca na czerwono zgasła. Pchnąłem drzwi i jako pierwszy wyszedłem na korytarz. Tak było od dnia, w którym jeden z osadzonych zmusił mnie do walki na śmierć i życie.

Wsunąłem dłonie do kieszeni dresowych spodni. Moje palce natknęły się na chropowatą rękojeść noża. Tego samego, który dziesięć lat temu rozszarpał skórę na mojej twarzy. Metalowa krata podrygiwała z każdym moim krokiem, a gdy zaczęli dołączać do mnie pozostali, ugięła się pod ciężarem dziesiątek ciał, odzianych w stare, porozciągane koszulki, pokryte brudem spodnie i znoszone buty.

Ktoś idący korytarzem na piętrze niżej, zagwizdał przeciągle. Zerknąłem w tamtą stronę. Santiago szturchnął w bok jakiegoś chłopaka. Nie kojarzyłem go, więc musiał być nowy. Zachwiał się w wyniku pchnięcia, a na pozbawionej zarostu twarzy pojawił się strach.

– Ciepła czy zimna? – spytał Ervin Davidson, pojawiając się przy moim boku.

Nasza rozmowa zawsze zaczynała się od tego samego pytania. Tylko garstka osadzonych miała w celi dostęp do umywalki. Po tym, jaka danego dnia leciała woda, można było przewidzieć, czego należy spodziewać się pod prysznicem.

– Zimna – mruknąłem, wciąż obserwując sytuację, która rozgrywała się na dole.

Ervin wydał niski, przypominający warkot dźwięk.

– Kurwa. Może jutro dopisze nam szczęście.

Gdy nie odpowiedziałem, jego oczy powędrowały w tym samym kierunku, co moje. Na twarzy pojawił się grymas, który usiłował zamaskować uśmiechem.

– Z najświeższych informacji... Wczoraj rozmawiałem z brankiem. Gdy wyjdiesz, da ci kilka dni, a potem się z tobą skontaktuje i pomoże ustawić spotkanie z Anwarem. Ten z kolei przedstawi ci nasze plany na najbliższe miesiące. Sytuacja jest dynamiczna, a ze mną kontakt, jak dobrze wiesz, będzie ograniczony, więc wszystkie decyzje należą do niego.

– Ufasz mu? – Oderwałem wzrok od dzieciaka.

– W stu procentach. Współpracujemy ze sobą od kilkunastu lat. Nigdy mnie nie zawiódł. Myślę, że wy również bez problemu dojdziecie do porozumienia. Zarówno ja, jak i on bardzo liczymy na twoje wsparcie.

Pokiwałem wolno głową.

Koma była jednym z najgorszych miejsc na świecie, ale miała też pewną zaletę. Okazała się istną kopalnią złota. Zaledwie kilka tygodni po tym, jak tu trafiłem, zorientowałem się, że oprócz seryjnych morderców, sadystów, gwałcicieli i całej reszty śmieci, trafiały tu także osoby... wyjątkowe.

Wymiar sprawiedliwości od setek lat funkcjonował w przekonaniu, że gdy pozamyka głowy zarządzające nielegalnymi

organizacjami, one przestaną istnieć. Błąd. Te głowy były na tyle tęgie, że szybko przystosowywały się do nowej sytuacji i wydawały rozkazy stąd. Nawet, gdy kontakt ze światem zewnętrznym był ograniczony do jednego telefonu na miesiąc. Zrujnowanie systemu, który tworzone przez pokolenia, było znacznie bardziej skomplikowane.

Jako pierwszego poznałem Rosjanina – Jegora Chadova, który razem ze swoją siostrą, Irą, zajmował się przemytem amfetaminy i jej pochodnych, a także opiatów i kokainy. Drugi był Ukrainiec – Wasyl Korotkov. Również przemytnik, ale nieco innego towaru. Jego „konik” to alkohol, papierosy i paliwo płynne. Następnie na mojej drodze stanął Ervin Davidson. Szkot. Nie musieliśmy się sobie przedstawiać. Ervin był złodziejem. Kradł luksusowe samochody w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i sprowadzał je na szkockie ulice. Oni wszyscy chcieli jednego – mało ryzykownej drogi, którą mogliby szmuglować towar.

A ja mogłem im ją dać.

Urodziłem się i dorastałem na jednej z niewielkich, przynależnych do Szkocji wysp, która od setek lat należała do mojej rodziny. Otaczające ją wody Oceanu Atlantyckiego znałem jak własną kieszeń. Podobnie jak Morze Północne i Celtyckie. Wyznaczenie bezpiecznych szlaków transportowych nie stanowiło dla mnie problemu.

Podczas gdy ja nawiązywałem kontakty, Braden – mąż siostry mojego ojca – czuwał nad realizacją zleceń. Z pomocą Ronana i telefonu, który mi podrzucił, mogliśmy wymieniać się informacjami znacznie częściej, niż tylko raz w miesiącu. Interes rozwinął skrzydła w zawrotnym tempie. Pieniądzy przybywało. Dzięki nim już za kilka dni, gdy wrócę do domu, zacznę odbudowę tego, co zostało zniszczone.

Czekało mnie dużo pracy. Po serii wybuchów, które miały miejsce tamtej nocy, z połowy posiadłości zostały zgłiszczca. To, co przetrwało podczas dziesięciu lat mojej nieobecności, uległo powolnemu rozkładowi. Było nas zbyt mało, abym mógł komukolwiek powierzyć rekonstrukcję domu. Musiałem zrobić to sam. Krok po kroku, a pierwszym z nich będzie zemsta.

Zemsta.

Poczułem słodycz na języku. To ona utrzymywała mnie przy życiu przez te wszystkie lata. Nic innego już mi nie zostało. Wszystko, co miało dla mnie jakąkolwiek wartość straciłem w chwili, w której zginął mój brat, ojciec i jego żona. Wybuchy nie dały im szans na przeżycie. Ładunki umieszczono w nieprzypadkowych miejscach. Siła rażenia była precyzyjnie wyliczona i oczywiste było, że stał za tym zawodowiec.

Według sądu byłem nim ja. Tylko w mojej sypialni nie znaleziono ładunku, a ponieważ budynek był zabezpieczony zbyt dobrze, aby do środka przedostał się ktoś z zewnątrz, wniosek nasuwał się jeden – sprawca cały czas musiał być w środku.

Tamtej nocy oprócz mojej rodziny zginęły trzy inne osoby. Dwóch strażników oraz kobieta, która opiekowała się Simonem. Przeżyłem jako jedyny. Z uwagi na młody wiek, brak wiarygodnego motywu oraz niezbitych dowodów potwierdzających moją winę, dostałem dziesięć lat. Tylko i aż.

Minęliśmy prowizoryczną siłownię, w której kilku osadzonych sapało wśród płataniny zardzewiałego żelastwa i skierowaliśmy się w stronę pomieszczenia, które nazywano łazienką. W rzeczywistości było to dziesięć gumowych, wystających z sufitu węży o średnicy trzech centymetrów, z których grubym strumieniem lała się woda. Były one oddalone od siebie

o odległość nie większą niż metr. Separowały je metalowe, rude od rdzy kraty.

Rozebrałem się, a potem ustawiłem tyłem do ściany. Kilka sekund później strumień lodowatej wody uderzył w moje plecy. Ciało szybko przestało reagować na chłód. Po trzech miesiącach skóra stwardniała, a zimny prysznic zyskał miano czegoś normalnego. Zanurzyłem głowę pod strumieniem. Krótkie włosy przylgnęły do skóry. Zacząłem obracać w dłoniach kostkę szarego mydła, po czym rozprowadziłem pianę po głowie. Szybko ją spłukałem. W Komie utrata czujności – nawet na kilka sekund – mogła wiele kosztować. Oczy zawsze musiały być otwarte. Znów potarłem kostkę i namydliłem – już mniej pośpiesznie – klatkę piersiową i ramiona. Starąłem się zignorować smród chloru i ścieków oraz metaliczny posmak, który przebijał się nawet przez intensywny smak pasty do zębów.

Gdzieś obok rozległy się odgłosy szamotaniny.

– Zastanawia mnie, za co cię przymknęli. – Usłyszałem śmiech.

Do łazienki wszedł chłopak, na którego zwróciłem uwagę na korytarzu. Santiago nie odpuszczał. Szedł krok za nim, od czasu do czasu go popychając. Młody starał się nie reagować na zaczepki, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że musiał tu trafić niedawno. Może nawet dziś.

– To nie mogło być byle gównem, skoro wysłali cię właśnie tutaj – rzucił meksykanin.

Chłopak wciąż milczał.

– No? Mów! – Klepnął go w ramię.

Sięgnąłem po leżący nieopodal ręcznik i przetarłem nim twarz, a następnie resztę ciała. Chwyciłem spodnie i naciągnąłem je na wilgotną skórę.

Ervin pokręcił głową. Zazwyczaj unikał ściągania na siebie uwagi, a tym samym pakowania się w kłopoty, ale pewne zachowania zbyt mocno go raziły, aby pozostał bierny.

– Ty mnie po prostu, kurwa, ignorujesz. – Santiago znów klepnął nowego osadzonego.

Tym razem w pośladek.

Szala się przelała. Chłopak szarpnął się, ale meksykanin szybko zgasił jego zapal, przyciskając go do mokrej ściany. Młody w ostatniej chwili zdołał obrócić twarz i tym samym uchronić się przed zmiażdżonym nosem. Zaciśnął zęby, krzywiąc się z bólu.

Ervin nie wytrzymał.

– Santiago – wtrącił się ze stoickim spokojem. – Daj mu spokój.

Mężczyzna zerknął na niego, a potem przeniósł wzrok na mnie.

– Zajmij się sobą, Davidson – warknął.

– Zostaw go, naprawdę – przekonywał Ervin. – Jest przecież mnóstwo innych. Chętnych.

Santiago zaśmiał się i puścił chłopaka, który pospiesznie chwycił swój ręcznik.

– To nie będzie ci potrzebne. Jeszcze z tobą nie skończyłem – zwrócił się do niego, a następnie do Ervina. – Czy to propozycja? – Zmierzył go od stóp do głów. – Nie jesteś taki zły. Trochę za stary, ale mógłbym zrobić wyjątek.

Niski śmiech opuścił gardło Davidsona. Przewiesił ręcznik przez ramię.

– Cóż... Ty również nie jesteś w moim typie, jeśli mam być szczerzy.

– W takim razie nie wchodźmy sobie w drogę, co? – rzucił meksykanin. – Myślę, że żaden z nas nie chce mieć... problemów. – Ponownie rzucił na mnie okiem.

– Święte słowa. Zgadzam się. – Ervin przytaknął ochotczo. Santiago wyszczerzył zęby. Odwrócił się na pięcie, aby odejść, ale przystanął, gdy po raz kolejny rozbrzmiał głos Davidsona.

– Zostaw dzieciaka w spokoju i obejdzie się bez komplikacji, a ja już więcej nie wtrączę się w żadną z twoich spraw. Obiecuję. Meksykanin znieruchomiał.

– Obawiam się, że się nie zrozumieliśmy – rzekł, ponownie się obracając.

Ervin przekrzywił głowę.

– Wydaje mi się, że wyraziłem się dostatecznie jasno.

Santiago zrobił krok w jego stronę. Wtedy ja także się poruszyłem.

– Wystarczy – warknąłem niskim głosem.

Natychmiast się wycofał. Jego twarz przybrała zwierzęcy wyraz, gdy wykrzywił usta. Nasze spojrzenia kolejny raz się skrzyżowały i posłałem mu nieme ostrzeżenie. Zerknął w stronę skulonego przy mokrej ścianie chłopaka. Zrobiłem to samo.

– Spierdalaj do swojej celi. Zatrzaśnij za sobą drzwi – rozkazałem, ignorując narastający na twarzy meksykanina gniew. – A ty się stąd nie ruszysz przez następne pięć minut.

Santiago warknął, gdy chłopak go wyminął i pędem opuścił łazienkę. Odczekałem chwilę, aby mieć pewność, że nie ruszy za nim w pogoń, po czym skinąłem na Erwina i razem skierowaliśmy się w stronę wyjścia. Gdy drzwi się za nami zamknęły, odezwałem się.

– Nie powinieneś był tego robić.

– Wiem.

– Miałeś się nie wychylać.

– Tak.

– Teraz Santiago będzie miał na celowniku nie tylko tego dzieciaka, ale również ciebie.

– Wiem – powtórzył niewzruszonym głosem.

Zatrzymałem się. Wycelowałem spojrzenie w twarz, na której zmęczenie odbiło swoje piętno. Jak na mężczyznę w tym wieku trzymał się całkiem dobrze. Był silny i sprawny, ale w starciu z Santiago nie miałby najmniejszych szans. Wiedział o tym. Zdawał sobie również sprawę, że za kilka dni stąd zniknę, a jedyną osobą, na którą będzie mógł liczyć, będzie on sam.

– Dam sobie radę. Nie musisz się o mnie martwić – zapewnił.
A jednak.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? – Zmrużyłem oczy.

Ervin zaprzeczył.

– Myślałem, że mamy wszystko ustalone.

– Nie wychodzić przed szereg. Nie rzucać w oczy. Wytrzymać dziewięćdziesiąt siedem dni – powtórzył słowa, które od dwóch tygodni stanowiły jego mantrę. – Po prostu... ten chłopak... Wyglądał identycznie jak mój syn.

Długo wpatrywałem się w niego, przeskakując wzrokiem z jednego oka na drugie.

– Nie wytrzymaj tu tygodnia – oznajmiłem pozbawionym emocji głosem.

Ervin zacisnął palce na nasadzie nosa.

– Mój Boże...

Nie powinien go w to mieszać. Nigdy go tu nie było. Nie wiedział o istnieniu tego miejsca albo udawał, że go nie widzi.

ROZDZIAŁ 3



Max

– McCallister!

Zerknąłem w stronę otwartych drzwi.

– Dobrze wieści – oznajmił Gow, wkraczając do mojej celi.

Z jego ciężkich butów obsypało się zaschnięte błoto.

– Wychodzisz – poinformował, zerkając na mnie zza pół-
okrągłej szyby. – Dziś.

Wbiłem wzrok w poślódką kartkę, którą trzymał w dłoni.

– Odgórna decyzja – dodał, gdy się nie ruszyłem. – Jeśli jednak chcesz jeszcze zostać, daj znać. Zobaczę, co da się zrobić.

– Nie trzeba. Wiem, w jaki sposób mógłbym przedłużyć
sobie te wakacje. – Wsunąłem rękę do kieszeni.

Gow zaśmiał się, ale nie było w tym dźwięku niczego beztrockiego. Po sposobie w jaki jego dłoń sięgnęła do pasa, domyśliłem się, że się wystraszył. Zrobiłem krok w jego stronę.

– Ręce na widoku – zażądał i choć na twarzy mężczyzny malował się spokój, w głosie pobrzmiwało nerwowe zniecierpliwienie.

Gdy nie zareagowałem, chwycił za paralizator.

– Ręce na widoku, powiedziałem – powtórzył, a jego górna powieka zaczęła podrygiwać.

Nie odrywając wzroku od zaniepokojonych oczu, powoli wyjąłem puste dłonie z kieszeni i uniosłem je na wysokość głowy.

– Lepiej. A teraz wyłaż. – Skinął głową na drzwi, które miał za plecami.

Wyminałem go i chwilę później znalazłem się na korytarzu. Była siódma rano. O tej godzinie osadzeni byli już w swoich celach i większość szykowała się do spania, podczas gdy strażnicy blokowali drzwi.

Moje oczy spoczęły na twarzy Ronana, opierającego się plecami o metalową barierkę. Skinął głową na przywitanie i natychmiast odwrócił wzrok, gdy na korytarzu pojawił się Gow.

– Wystaw ręce – nakazał. W dłoni trzymał kajdanki.

– Naprawdę? – Ronan wydobył z siebie pełne irytacji westchnienie. – To chyba nie jest konieczne. McCallister jest już właściwie wolnym człowiekiem.

– Taka jest procedura – odparł Gow, a następnie zwrócił się do mnie. – Wystawiaj.

Spełniłem jego prośbę. Niechętnie. Gow zlustrował moje zdarte do krwi knykcie, a potem uniósł na mnie wzrok.

– Ciężka noc? – spytał podejrzliwie.

– Jak każda.

– Słyszałeś, co się stało z Santiago? – Zmrużył oczy.

– Nie – skłamałem.

Parsknął, a następnie mnie skul.

– To zaraz zobaczysz – rzucił, po czym mnie szturchnął, zmuszając do ruchu.

Zacisnąłem zęby, starając się trzymać emocje na wodzy. Mało który strażnik tak bardzo działał mi na nerwy.

– Mam nadzieję, McCallister, że nie byłeś na tyle głupi, aby wpakować się w jakieś gówno tuż przed wyjściem na wolność. – Cienki głos rozbrzmiał zdecydowanie zbyt blisko mojego ucha. Potem mnie znowu pchnął.

Odwrociłem się i mimo skutych dłoni, bez problemu złapałem za kłapy uniformu. Rzuciłem go na ścianę, jednocześnie unosząc kilka centymetrów nad ziemię. Otyłe ciało zaczęło się telepać jak rażone prądem. Ważył sporo, ale dźwigałem na barkach większe ciężary, niż grube cielsko podrzędnego strażnika.

– Powtórz, bo chyba źle usłyszałem – syknąłem, obserwując, jak czerwienieje ze złości.

– Puszczaj! – wrzasnął Gow.

W jego oczach pojawiła się panika. Wiedziałem, o czym myślał. O tych wszystkich rzeczach, które zrobiłem, a których nie zrobił nikt inny. Według niego byłem nieobliczalny. Dlatego wybrał właśnie mnie. Testowanie mojej cierpliwości sprawiało mu ogromną satysfakcję.

– Puszczaj albo załatwię ci dodatkowe dziesięć lat w tej celi!

Pozostali więźniowie szybko się zorientowali, że coś się dzieje. Zaczęli pokrzykiwać. Nie głośno, chcieli się tylko ponabijać. Hałas odniósł zamierzony skutek – Gow zrobił się purpurowy z wściekłości, wstydu, bezradności i strachu.

Ronan uderzył tonfą w metalową barierkę.

– Cisza! – krzyknął i szydercze pohukiwania natychmiast ustały.

Sekundę później poczułem na ramieniu ciężką dłoń.

– Max, przestań – nakazał stanowczo.

Z wdzięczności za wszystko, co dla mnie zrobił, posłuchałem go. Gow opadł na podłogę, ale szybko się pozbierał. Gdy uniósł dłonie w napadzie szału, cierpliwie czekałem na cios.

– Nie radzę – wtrącił się Ronan, pchając go w pierś końcówką gumowej pałki.

– Zgłoszę to! – odgrażał się, opluwając sobie przy tym brodę.

Przekrzywiłem głowę, obserwując, jak strużka potu ścieka po jego wysokim czole.

– Dość! – ryknął Ronan. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli zajmę się tym sam.

Gow potrząsnął głową, robiąc krok w tył.

– Przyślę kogoś innego...

– Nie! Poradzę sobie sam – powtórzył głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Gow sapnął, ale ewidentnie nie miał ochoty na dalszą dyskusję. Poprawił mundur.

– Pieprzony bohater – burknął pod nosem, a potem z wyrazem upokorzenia na twarzy ruszył w drugą stronę.

Ronan pokręcił głową, nie kryjąc dezaprobaty.

– To było niepotrzebne.

Gdy nie odpowiedziałem, westchnął.

– Nie traćmy więcej czasu. Chodźmy.

Mijaliśmy celę za celą i przez większość czasu towarzyszyła nam cisza. Twarze osadzonych były dobrze widoczne za szybami z hartowanego szkła. Odprowadzali mnie spokojnymi

spojrzeniami. Nie były cyniczne, wściekle ani zazdrosne. Wyrażały aprobatę.

– Muszę zamienić słowo z Ervinem – oznajmiłem.

Ronan nie odezwał się, ale gdy dotarliśmy do celi Davidsona, odblokował drzwi, po czym mnie rozkuł.

– Macie minutę – uprzedził, zostawiając nas samych.

Ervin zmierzył mnie od stóp do głów.

– A więc to już – stwierdził. – Będzie mi ciebie brakowało.

– Dziewięćdziesiąt sześć dni.

– Dziewięćdziesiąt sześć – powtórzył, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Oczy dookoła głowy.

– Tak, wiem. – Przytaknął.

Wyciągnąłem z kieszeni nóż.

– Mam nadzieję, że ci się nie przyda.

– Nie mogę go przyjąć...

– Możesz. Zwrócisz mi go za dziewięćdziesiąt sześć dni.

Nieco się ociągając, wyciągnął dłoń. Położyłem na niej złożone ostrze, po czym odwróciłem się i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Do zobaczenia, Max. – Usłyszałem, gdy znalazłem się na korytarzu.

Posłałem mu ostatnie spojrzenie, a potem wznowiłem marsz. W jednej z cel mignął mi tamten dzieciak. Jasne oczy tak intensywnie wpatrywały się w moją twarz, jakby chciały wypalić w niej dziurę. Gdy jego wargi się poruszyły, odczytałem z nich jedno słowo: „Dziękuję”. Odwróciłem wzrok świadomy tego, że jego dni były policzone.

Wyszliśmy z bloku. Chwilę później moim oczom ukazała się siłownia. Wewnątrz kręciło się kilku strażników. Jeden z nich rozkładał właśnie duży, czarny worek. Przeskanowałem

wzrokiem pomieszczenie, a następnie utkwilem go w zakrwawionym ciełe Santiago. Było dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Oczy miał wybałuszone, nieruchome, martwe. Puste spojrzenie zatrzymało się na suficie. Leżał na plecach na ławce treningowej, a sztanga, na którą założono ciężary o łącznej wartości stu kilogramów, przygniatała jego szyję. Niewiele z niej zostało. Była zmiażdżona i gdyby nie kręgosłup, głowa oderwałaby się od tułowia.

– Ktoś mu pomógł. – Usłyszałem znudzony głos strażnika.

– Nie zatrzymuj się – warknął Ronan, idąc obok mnie.

Niepotrzebnie, nie miałem takiego zamiaru. Zapewne wiedział, że to moja sprawka. Wiedział, ale nie spytał, abym nie musiał go okłamywać albo co gorsza, nie wyznał prawdy.

Wyszliśmy poza strzeżoną strefę, po czym rozpoczęła się przeprawa przez zaskakująco długą listę procedur. Formalności zajęły godzinę, ale w końcu dobiegły końca. Pozostało mi już tylko odebranie rzeczy, w których tu trafiłem.

– Czarna bluza z kapturem, spodnie, koszulka z krótkim rękawem, bielizna, sportowe buty, zegarek i łańcuszek – wymieniła starsza kobieta, zerkając na mnie znad okularów. – Proszę się przebrać w swoje ubrania w łazience. Własność placówki przed wyjściem niech pan położy na ladę – poprosiła, racząc mnie uśmiechem.

Zgarnąłem swoje rzeczy i ruszyłem do wskazanego przez nią pomieszczenia. Łazienka była duża i – jak wszystko tutaj – śmierdząca. Tynk odpadał ze ścian, a w rogach znajdowała się pleśń. Mimo to miejsce, w którym przez ostatnie dziesięć lat dbałem o higienę, nie mogło się z nią równać.

Odłożyłem elementy garderoby na taboret i zdjąłem więzienne ubranie, które nadawało się już tylko na śmietnik. Moją

skórę pokrywała cienka warstwa potu, ale nie przejąłem się tym. Koszulki, którą odebrałem, z całą pewnością nikt przez te lata nie wyprał, więc nie należała do najczystszych. Szczególnie mówiąc byłem zaskoczony, że nie rozpadła mi się w dłoniach. Z trudem ją założyłem. Materiał naciągnął się na klatkę piersiową i ramionach, a gdy schyliłem się, aby ubrać spodnie, puścił szew. Tym również się nie przejąłem. Założyłem bluzę, która podobnie jak koszulka, zrobiła się nieco przyciasna, a potem spojrzałem na zegarek. Zamiast srebrnego rolexa dostałem coś, co można było kupić na dowolnym targowisku za kilka funtów. Nie byłem zaskoczony. Rzuciłem okiem na białą tarczę – nie działał. Wyrzuciłem go do kosza, po czym skierowałem wzrok na łańcuszek z białego złota, na którym zawieszono dwa nieśmiertelniki. Musnąłem opuszkami wygrawerowane na nich imiona: Acair McCallister, Logan McCallister, Ryan McCallister, Max McCallister. Pradziadek, dziadek, ojciec i ja. Tradycja nakazywała podarować naszyjnik pierworodnemu synowi w dniu jego osiemnastych urodzin. Miało to symbolizować przekazanie pieczy nad rodziną kolejnemu pokoleniu.

Niecałe dwa lata później, pozwoliłem im wszystkim zginąć.

Mięsień w mojej szczękę drgnął, gdy zapinałem łańcuszek na szyi. Wrzuciłem nieśmiertelniki pod bluzę, po czym zgarnąłem rzeczy i opuściłem śmierdzącą stęchłą łazienkę. Położyłem ubrania na blacie tak, jak prosiła kobieta.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się po raz drugi. – Jeszcze tylko... – Spojrzała w stronę drukarki. – Och, no dalej! – Uderzyła w urządzenie, które najwidoczniej odmówiło współpracy.

Zacisnąłem palce na krawędzi lady, a potem zerknąłem na stojącego w kącie Ronana. Rozmawiał z kimś przez telefon.

– Udało się – oznajmiła kobieta, przesuwając w moją stronę dokument. – To wszystko. Powodzenia – rzuciła, ruchem głowy wskazując na drzwi.

Spojrzałem w ich stronę i dostrzegłem majaczący za szybą las. Zmusiłem nogi do ruchu. Pociągnąłem za klamkę i ułamek sekundy później moje płuca wypełniło inne powietrze niż to, które dotychczas wdychałem. Było świeże, rześkie, rozpierające pierś. Pachniało czymś, co sprawiło, że w mojej głowie eksplodowały wspomnienia. Uniosłem wyżej brodę, pozwalając, aby promienie porannego słońca ogrzały moją twarz.

– Max. – Usłyszałem za plecami głos Ronana.

Niechętnie otworzyłem oczy i zerknąłem na niego przez ramię. Wyciągnął ku mnie dłoń. Leżał na niej telefon.

– Do ciebie – poinformował.

Rzuciłem okiem na widoczny na ekranie zegar, odliczający sekundy trwającego połączenia. Przysunąłem urządzenie do ucha.

– Jak smakują pierwsze minuty odzyskanej wolności? – Gdziekolwiek znajdował się Braden, z pewnością się uśmiechał.

– Gorzko.

– Gorzko? – zdziwił się.

– Jak utracone dziesięć lat życia.

Po drugiej stronie zapadła cisza, która jednak nie trwała długo.

– Nadrobimy ten czas, Max – zapewnił, choć oboje wiedzieliśmy, że było to niewykonalne. – Ronan poinformował mnie, że niespodziewanie wypuścili cię szybciej. Bardzo cię przepraszam, ale nie damy rady dziś cię odebrać. Wszystkim się jednak zająłem. Z pomocą Ronana. Wypożyczył dla ciebie

samochód. Udasz się do hotelu w Portree, spędzisz tam noc, a rano Camdan będzie czekał na ciebie w porcie.

Spojrzałem na strażnika. Obserwował mnie z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– W porządku.

– Nie mogę się doczekać, aż się zobaczymy – oznajmił Braden. – I bardzo żałuję, że nie stanie się to dziś.

Zacisnąłem powieki.

– Ale już niedługo... Jeszcze tylko chwila.

Chwila. Tylko chwila.

– Max? – wyszeptał, gdy zbyt długo się nie odzywałem.

– Jestem.

Usłyszałem, jak wypuszcza powietrze, które najwidoczniej od jakiegoś czasu wstrzymywał.

– Dobrze. Chciałbym zamienić jeszcze dwa słowa z Ronanem, jeśli to możliwe.

– Jasne – rzuciłem ochrypłym głosem, a potem przekazałem urządzenie stojącemu nieopodal mężczyźnie.

Ronan przeniósł wzrok na ścianę lasu, uważnie słuchając, co Braden miał mu do przekazania.

– Tak – odezwał się w końcu.

Zmarszczyłem brwi, gdy pokiwał głową. Kilka sekund później zakończył połączenie. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, spoważniał.

– Znacie się – stwierdziłem.

Na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– Poznaliśmy się – przyznał. – Jakiś czas po tym, jak trafiłeś do Komy. Braden dotarł do mnie i próbował przekonać różnymi sposobami, abym miał cię na oku. – Odchrząknął.

– I w końcu się udało – rzuciłem, wcale nie mając mu tego za złe.

– Nie przekonały mnie pieniądze, jeśli to masz na myśli. Przekonała mnie świadomość, że jesteś niewinny.

Poczułem, jak skóra na mojej twarzy się napina.

– Tak podpowiadała mi intuicja, a ona jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Zmrużyłem oczy.

– Wygląda na to, że mam u ciebie dług. – Na te słowa Ronan pokręcił głową.

– Nie. Nie powinno cię tu w ogóle być.

– Nie jestem święty. – Spojrzałem na niego spod byka.

– Wiem. Wiem też, kim był twój ojciec. Nie zmienia to faktu, że zostałeś skazany za zbrodnię, której nie popełniłeś. To, co wydarzyło się niedługo po tym, jak tu trafiłeś... – urwał nagle.

Moja dłoń drgnęła. Ostatkiem sił powstrzymałem się przed dotknięciem blizny.

– To przeważało szalę. Obiecałem sobie, że zrobię co w mojej mocy, aby pomóc ci przetrwać.

Przekrzywiłem głowę.

– Dobry z ciebie człowiek.

– Sprawiedliwy – poprawił mnie. – Po prostu sprawiedliwy.

– W takim razie się nie zmieniaj.

Po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat zobaczyłem, jak się uśmiecha.

– Jestem już na to za stary – rzekł, rzucając w moją stronę kluczyki do samochodu. – Na siedzeniu pasażera jest torba. Znajdziesz w niej wszystko, co będzie ci potrzebne, aby dotrzeć do hotelu.

ROZDZIAŁ 4



Carmen

Droga do domu letniskowego ciągnęła się w nieskończoność, choć tak naprawdę były to jedynie cztery godziny jazdy. Ojciec cały ten czas spędził z nosem w tablecie, zajmując się sprawami, których – jak mawiał – nie zrozumiałabym. Nie czułam się urażona. Wsparłam się o drzwi i podparłam brodę na zaciśniętej pięści. Obserwowałam migające za oknem krajobrazy. Wysokie wieżowce i ogromne wille zostały zastąpione przez rozległe lasy i zielone wzgórza. Wszystko wydawało się być takie spokojne, ciche i niedotknięte wszechogarniającym pędem. Tutaj życie toczyło się zupełnie innym rytmem. Nikt nikogo nie poganiał, nie żądał, nie wymagał. Nie liczyły się pieniądze i władza. Tylko wolność, bezkresne niebo i wiatr.

Nic nie fascynowało mnie bardziej niż natura – jej ogrom, nieskończoność i potęgą tkwiąca w jej spokoju.

Niemalże zapomniałam, że pokonujemy trasę kuloodpornym mercedesem w towarzystwie dwóch masywnych SUV-ów, wewnątrz których znajdowało się stado uzbrojonych po zęby ochroniarzy.

Gdy wreszcie dojechaliśmy na miejsce, odpięłam pasy.

– Poczekaj, aż chłopaki sprawdzą i zabezpieczą posesję – upomniął mnie ojciec, nie podnosząc wzroku znad tabletu.

Zacisnęłam wargi, obserwując, jak mężczyźni wyskakują z samochodów i zaczynają okrążyć teren posiadłości. Kilku z nich weszło do niewielkiego domu wybudowanego z kamienia. Skontrolowanie każdego metra zajęło im długie kilkanaście minut, po czym nasz szofer, a zarazem najbliższy mojemu ojcu ochroniarz – Finn – dostał zielone światło. Mogliśmy wyjść. Jeden strażnik otworzył drzwi ojcu, a drugi mi. Wyciągnął dłoń, jakbym nie była w stanie wysiąść samodzielnie. Zignorowałam oczekującą rękę i wyszłam na zewnątrz. Mój nos wypełnił świeży zapach, tak bardzo różniący się od zapachu miasta.

– Wejdźmy do środka – zarządził ojciec, ruszając w stronę domu.

Gdy nie podążyłam jego śladem, odwrócił się.

– Carmen.

Przygryzłam wnętrze policzka w odpowiedzi na szorstki ton jego głosu. Rozejrzałam się po raz ostatni, po czym zmusiłam nogi do ruchu.

Dawno mnie tu nie było. Bardzo dawno. Widok domu przywołał szczęśliwe wspomnienia. Wiele z nich miało związek z mamą. Gdy byłam dzieckiem, ojciec często nas tu odsyłał. Czasem na weekend, innym razem na miesiąc. Wszystko

zależało od tego, co miał do „załatwienia”. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz wiedziałam, że robił to dla naszego bezpieczeństwa.

Z mamą całe dnie spędzałam na dworze. Nieważne czy było to lato, jesień, zima, czy wiosna. Zawsze było coś ciekawego do zrobienia. Bawiłyśmy się w chowanego, sadiłyśmy rośliny, które nigdy nie rosły i kąpałyśmy się w rzece, choć za domem był basen. Raz zbudowałyśmy nawet w lesie szałas. Ledwo się trzymał, a od zawalenia dzielił go jeden nieostrożny ruch, ale my byłyśmy wniebowzięte. Pamiętam, że mama przyniosła wtedy wszystkie koce, jakie udało jej się znaleźć w domu, a potem przygotowała dwa kubki z gorącą czekoladą. Weszłyśmy do stworzonego przez nas schronu i przez kilka godzin czytała mi *Przemyślenia Tomka Sawyera*.

Dom był niewielki. Dwupiętrowy ze strzelistym dachem. Surowość elewacji z kamienia łagodziły liczne, przeszklone ściany. W środku nie poczyniono zbyt wielu zmian od momentu, kiedy byłam tu po raz ostatni. Nikt nie zadbał o wymianę mebli, natomiast wiszący na ścianie telewizor z całą pewnością był nowy. Ruszyłam w stronę kuchni i zlustrowałam wzrokiem ekspres do kawy, a następnie przesunęłam spojrzeniem po lśniących czystością blatach. Otworzyłam lodówkę. Była pełna. Wyciągnęłam małą butelkę niegazowanej wody, po czym ruszyłam w stronę zabudowanych schodów. Na górze oprócz łazienki były tylko dwa pokoje – sypialnia rodziców i moja. Zatrzymałam się przed drzwiami. Wciąż wisiały na nich kolorowe litery, układające się w moje imię. Przekrzywiłam głowę, przyglądając się im przez chwilę, a następnie weszłam do środka. Przesta-
nęłam na widok różowych ścian i łóżka z baldachimem.

Najwidoczniej czas w tym pokoju się zatrzymał.

Opadłam na wysłużony materac i przesunęłam dłonią po włosach. Z zamyślenia wyrwał mnie dzwoniący telefon. Zerknęłam na wyświetlacz. Babcia.

– Witaj, moja droga. Jesteście już na miejscu? – odezwała się pierwsza.

– Tak.

– Świetnie. Rozpakowujesz się?

– Jeszcze nie.

Nie byłam pewna, czy jest sens. Ojciec twierdził, że zostaniemy tu tylko kilka dni.

– Dobrze, masz czas. Odpocznij po podróży. Jak się czujesz? – spytała. W jej głosie pobrzmiwała troskliwa nuta.

– Jakbym znów miała siedem lat – wyznałam.

– Wracają wspomnienia?

Wstałam i podeszłam do wysokiego okna. Utkwiłam wzrok w kołyszących się koronach drzew.

– Mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie – oznajmiłam. Babcia milczała przez chwilę.

– To normalne. Daj sobie czas.

Westchnęłam.

– Ściany w moim pokoju wciąż są różowe, a na drzwiach wiszą wycinanki. – Zerknęłam w stronę łóżka. – Poza tym obawiam się, że mogę się nie zmieścić na materacu.

Babcia zachichotała, ale mi nie było do śmiechu.

– Nie martw się. W wolnej chwili ojciec na pewno wstawi nowe łóżko.

– Jakoś znalazł czas, żeby zlecić wymianę telewizora w salonie na większy model – zarzuciłam.

Babcia odchrząknęła.

– Carmen...

Wiedziałam, że za chwilę zacznie go bronić, więc postanowiłam zmienić temat.

– A co u ciebie? Jesteś już u cioci?

Westchnęła wymownie.

– Tak, już od kilku godzin.

Babcia postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zamiast przyjechać z nami do letniskowego domu, zdecydowała się odwiedzić mieszkającą w Wiedniu siostrę, której nie widziała od kilku lat. Chciała mnie zabrać ze sobą, ale ojciec stwierdził, że będę bezpieczniejsza u jego boku.

Wciąż nie czuł się zobowiązany, aby udzielić mi informacji dotyczących tego, dlaczego musieliśmy opuścić Londyn. Postanowiłam na niego nie naciskać, bo już i tak wydawał się spięty do granic możliwości. Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że obecna sytuacja mnie nie niepokoiła. Znałam ojca na tyle, aby wiedzieć, że nie należał do ludzi, których łatwo można było zastraszyć. Ponadto z całego wachlarza potencjalnych reakcji na problem, ucieczka była ostatnia na liście. Nie podjąłby decyzji o wyjeździe, gdyby uważał, że nie jest to absolutnie konieczne. Miałam wrażenie, że umyka mi coś istotnego, a jedyne, czego mogłam być pewna, to fakt, że miało to związek z mężczyzną, którego nazwisko kilkakrotnie wybrzmiało podczas urodzinowej imprezy.

– Muszę kończyć – rzuciłam do słuchawki.

– Dobrze – odparła babcia bez przekonania. – Proszę, uważajcie na siebie.

– Ty na siebie też.

– Informuj mnie na bieżąco.

– Oczywiście. Pozdrów ciocię.

– Tak zrobię.